ROK DRUGI.

№ 46.

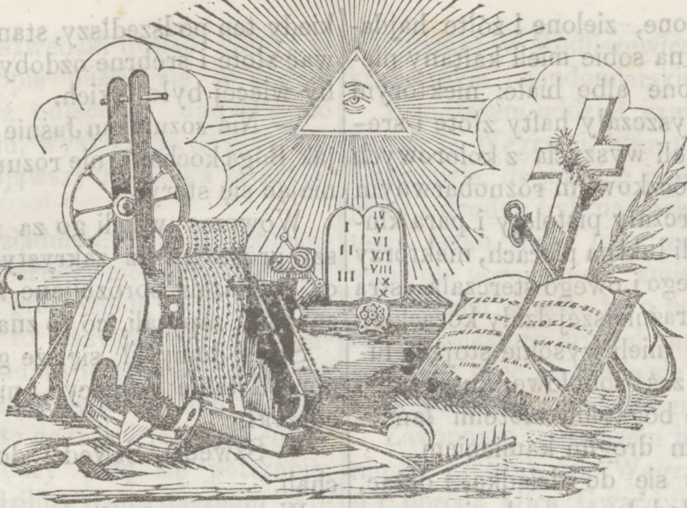
Warszawa.

Dnia 3 (15) listopada.

1857.

Niedziela

23 po ŚWIĄTKACH.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (S. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Nie przydadzą się przyjaciele, ani silni pomocnicy, ani radcy roztropni; nie dadzą pociechy księgi mędrców, ani największe skarby; nie da bezpieczeństwa żadne tajne schronienie, jeśli Bóg nie wspiera, nie wzmacnia, nie cieszy, nie uczy i nie strzeże. (O Naśl. Chr. K. 3 R. 59).

Pieśń przy pracy w polu.

Wstało słońce, pług już orze,
Śpiewa ptak, lecąc nad role;
I to słońce, ptak i pole,
I ten pług jest Twoim Boże!
Twarda ziemia, ciężko ręce,
Pot wyciska się na czoło;
Ja te krople Tobie święcę,
Idąc z pługiem znów wesoło.
Kropla potu nie zaginie,
Którą w trudzie wylać trzeba,
Ona późniéj na nas spłynie
Łaską nieba, darem chleba.
Noe, ów mąż wielki, święty,
W pierwotnym jeszcze narodzie,
Przy ziemi schylony, zgięty,
Sadził winnicę w ogrodzie.
Izaak i jego syny
Pasali ojców swych trzody,
Mojżesz na rękach z doliny
Wynosił jagnię od wody.
Swięci pracę Tobie nieśli,
Ty sam Zbawicielu świata!
Pomagałeś w młode lata
Józefowi cnemu cieśli.
A mnież o Panie nad Pany!
Miałaby się przykrzyć praca,
Za którą twa łaska łany
Pełnemi kłosy pozłaca?
O nie! Przedwieczny mój Boże!
Z radością pójdę wśród trudu,
Ręka chętnie ziemię zorze,
I wsieje ziarno dla ludu.
Dopomóż mi tylko Panie!
Abym pracując dla chleba,
Pamiętał to przykazanie,
Że naprzód trzeba nam nieba.

Szwedy i Rakoczanie.

Powieść

Z czasów króla Jana Kazimierza.

II.

(Dokończenie, patrz nr. Cz. 45).

Dziwne były ubiory przybyłych — wszyscy siedzieli na koniach miernego wzrostu; szerokie

jak spódnica, czerwone, zielone i żółte hajdawery okrywały nogi; na sobie mieli kaftany niebieskie, żółte, czerwone albo białe; niektórym nawet na piersiach błyszczały hafty złote i srebrne, inni wszyscy mieli wyszycia z kolorowych sznurków, opasani włóczkowym różnobarwnym pasem, za którym sterczały pistolety i para kinżałów. Inni znowu mieli łuki na plecach, niektórzy długie janczarki, a u tego i owego sterczała ostra kopia, podobna do teraźniejszéj dzidy kozackiéj. Na głowach wszyscy mieli wysokie stojące futrzane czapki, starsi zaś sobolowe, kunie albo niedźwiedzie, opasane bogatemi złotemi łańcuchami, spiętemi jakim drogim kamieniem.

Jadwina przytuliła się do dziadka, i drżąc, ciekawem okiem spoglądała na tych nieproszonych gości. Starzec, który zamłodu służył wojskowo i widział rozmaitych nieprzyjaciół, znał, jak są ubrani Tatarzy, jak Turcy, jak Wołosi, jak Szwedzi. Poznał więc zaraz, że to są ptaszki z południa, bo inną minę miały szwedzkie rajtary, i nie mienili się takiemi jaskrawemi barwami.

Starszy coś zakomenderował w nieznanym języku; kilkunastu jeźdźców poskoczyło na folwark, reszta zaś pozsiadała z koni, i powiązawszy je u sztachet otaczających klasztor, udała się do kościoła. A chociaż to byli chrześcianie, nie uczcili jednak przybytku Boga zdjęciem czapki, ale tłumnie, ze śmiechem i śpiewką wwalili się wewnątrz. Zakonnicy w białych komżach, wystąpili wszyscy przed wielki ołtarz i wieńcem otoczywszy stopnie, jednym głosem zanucili śpiew: *Święty Boże*! *Święty mocny*! *Święty a nieśmiertelny*. Nie zważali jednakże na to Wołosi, ale z chciwością rzucili się do rabunku ozdób kościelnych, a chociaż co droższe rzeczy były pochowane, jednakże tu i owdzie na ołtarzu znalazła się jaka ozdóbka srebrna lub złota, która nie zdołała ujść ich chciwości. Pałaszami porozbijali skarbonki i pozabierali resztki groszaków, które się tam znajdowały.

Zakrystya nie uszła także ich uwagi. Znalazłszy drzwi na kręte schody, prowadzące do skarbcu otworzonemi, kilku z nich tam poskoczyło; ale zobaczywszy zamek, okna i piece porozbijane, przytem kupę porosłą od wilgoci, już daléj nie szukali, lecz zeszedłszy do kościoła, zaczęli znosić, co który mógł zagrabić. Zakonnikom nic nie mówili, ale zobaczywszy w kruchcie starego Kostana opartego na swojéj lasce, jeden ze starszych kiwnął na niego, żeby się zbliżył, a kiedy ten podszedłszy, stanął, zaczęli mu pokazywać złote i srebrne ozdoby, zapytując się, gdzieby więcéj było takich.

— Nie rozumiem Jaśnie Wielmożni Panowie! jak Boga kocham, nie rozumiem, powtarzał, kłaniając się stary.

Wówczas wzięli go za ręce, i zaprowadziwszy prosto przez zakrystyą ku drzwiom skarbca, pokazali porozbijane świeżo zamki i okna i znakami zapytali, co to znaczy?

Stary domyślił się, że go się pytają, kto to porobił takie rujnacye, niewiele więc myśląc, odrzekł:

— Szwedzi, Szwedzi dopiero co ztąd odjechali.

Węgrzy spojrzeli po sobie i znowu pokazując srebra, znakami zapytali, czy dużo takich uwieźli.

Kostan pokazał ręką znak po brodę, że taką kupę.

Aż się za głowę złapali, a kiedy im Kostan wskazał ręką, że się udali ku Żarnowu, starszy polecił natychmiast zatrąbić. Na ten znak, ci, którzy się rozbiegli po innych częściach i splądrowali tymczasem nietylko stodoły, stajnie, piwnice, ale i groby murowane, poprzynosili, co który mógł zabrać, i dosiadłszy koni, kopnęli się czwałem ku Żarnowu.

Starzec wrócił do kościoła, ukląkł pobożnie i dziękował Bogu, że się na tem skończyło.

Alić nie upłynęło jeszcze dwóch godzin od ich wyjazdu, jak znowu na drodze od Modliszewic pokazała się gromada konnych. Jechali zwolna, w porządku, i wszyscy zatrzymali się znowu przy sztachetach kościoła—byłyto rajtary szwedzkie. Konie i ludzie dobrani jakby olbrzymy, na każdym z ludzi żelazny na piersiach pancerz, na głowie chełmy z takiéj saméj blachy, ogromne obosieczne miecze wiszące u boku; na ramionach płaszcze długie z czarnego grubego sukna. Na komendę starszego spiesznie pozsiadali z koni i zaczęli rewizyą, ale z nierównie większą bacznością jak tamci. Spostrzegając jednakże na każdym kroku prawie, ślady poprzedniego oddziału, widząc tu i owdzie to rozbity zamek, to połamane jakieś sprzęty, a w skarbcu drzwi porozbijane i okna, starszy zbliżył się do księży i zapytał poniemiecku, coby to znaczyło; a kiedy mu jeden z Ojców odpowiedział, że dopiero co odjechali Wołochy, uwożąc z sobą wszystkie skarby kościelne, (bo sam Ojciec nie wiedział rzeczywiście, jak się rzeczy mają,) i pokazał drogę, któ-

rą odjechali, oddział szwedzki dosiadł koni, i w jak największym galopie puścił się w pogoń.

Kiedy szwedzi już odjechali, Jadwina do tąd stojąca w milczeniu, wyskoczyła do góry kilka razy z radości i objąwszy dziadulka za szyję, mówiła:

— A co kochany dziadulku, czym źle schowała?—ani szwedzi, ani ci drudzy nie znaleźli, i żeby jeszcze dziesięć razy przyjechali, to nie znajdą.

— No, no, jeszcze to wszystko się nie skończyło, ale że nam się udało na ten raz, to nie ma co mówić. Daj Boże, żeby tylko na tém był koniec. Ale co pędzili, to pędzili, i jeżeli Węgrów dogonią, to może między sobą się potrzepią. A Bógby dał; oszczędziliby trudu naszemu Wojewodzie, co tak lubi trzepać skórę tym szwedzikom—i to mówiąc starzec, rozśmiał się na cały głos.

Pod Modliszewicami tymczasem z jednéj strony od Końskich, całe pole zawalone było wojskiem Rakoczego Węgrzyna, z drugiéj zaś strony od Żarnowa rozciągał się obóz szwedzki. Rakoczy, co przyszedł na czosnek do naszéj ziemi i król szwedzki Karol Gustaw ze swoimi generałami ucztowali na zamku w Modliszewicach.

Pod nieobecność dziedzica burgrabia sam tylko ich przyjmuje, nie szczędzi starego miodu i wina, a grube dębowe stoły uginają się pod ciężarem ogromnych półmisków rozmaitego mięsiwa. Pan Rakoczy sam pije niepoślednio, a i jego generałowie nie zostają wtyle. Inaczéj postępuje Karol Gustaw: wychylił on parę kielichów, i basta na tém, starszyzna jego także naśladuje swojego króla; dlatego więc, kiedy pomiędzy Rakoczanami rozlegają się śpiewy i hałasy, Szwedzi poważnie rozmawiają pomiędzy sobą o stoczonych bitwach i spodziewanych zwycięztwach. Na tamtych pełno złota i srebra w ubraniu, na tych połyska stal i żelazo— i kiedy Rakoczemu na piersiach błyszczą grube złote łańcuchy, a suknie mienią się jaskrawemi jedwabiami, król szwedzki ubrany w mundur prostego oficera, niczem się nie różni od swoich, i gdyby nie ta wyniosła mina i szlachetna duma na czole, niktby nie pomyślał, że to monarcha.

Po uczcie król szwedzki ułożył się z Rakoczym, jak się mają podzielić Polską i jeden i drugi podpisali się na to, czego jeszcze nie tak łatwo im było dokazać; wreszcie pożegnawszy się, szwedzi odciągnęli na północ, a Rakoczy zatrzymał się jeszcze w Modliszewicach, mając zawojować krakowskie i sandomierskie.

Tymczasem oddział szwedów, co pognał w pogoń za Węgrami, którzy zrabowali klasztor w Kazanowie, dognał ich pod Pomorzanami, ale i jedni i drudzy byli nadzwyczajnie zdziwieni, że takie tylko małe łupy zdobyli. Kiedy się więc wspólnie porozumieli, zmiarkowali, że byli wyprowadzeni w pole, bo o bogactwach Kazanowskiego klasztoru słyszeli już niejednokrotnie; postanowili więc wspólnie się wrócić i użyć wszystkich sposobów dla znalezienia ukrytych skarbów.

Zakonnicy tymczasem byli w tém przekonaniu, że rzeczywiście Węgrzy wszystko zrabowali i oprócz Ojca Gwardyana, który znał całą prawdę, nikt ani pomyślał, żeby owe bogactwa mogły być tak blisko. Gwardyan sądząc, że już wszystko minęło, wyjechał właśnie do Końskich, chcąc się coś nowego dowiedzieć, a kiedy zakonnicy wszyscy byli zgromadzeni w refektarzu, zadudniła ziemia pod kopytami koni i jednocześnie Szwedzi z Węgrami wpadli do refektarza. Zaczęli się natychmiast dopytywać o schowane skarby, a kiedy się nic nie mogli dowiedzieć, rozzłoszczeni do najwyższego stopnia, nielitościwie zaczęli się obchodzić z biednymi zakonnikami, że kilku już bez przytomności pokrwawionych leżało na ziemi.

Jęki rozlegały się w refektarzu, a żołdaki pastwili się nad nieszczęśliwymi; wówczas pocichu otworzyły się drzwi i stary Kostan, z białą do pasa sięgającą brodą pokazał się na progu, a zobaczywszy, co się tu dzieje, zatrząsł się od zgrozy pobożny starzec, i śmiało występując na środek, rzekł:

—Ja schowałem skarby—oni wszyscy nic nie wiedzą o tém.

Napastnicy spojrzeli po sobie, nie rozumiejąc téj mowy.

Wówczas Kostan zbliżył się do Ojca Leona, mówiącego poniemiecku i prosił go, żeby im to wytłumaczył, a on i tak potrafi wyjść z tego— i kiedy zdziwiony ksiądz powtórzył jego słowa, żołnierze natychmiast otoczyli starca naokoło, pytając go się znakami, gdzieby były ukryte skarby.

— Niech im Ojciec Leon będzie łaskaw powiedzieć, że nie na to je kryłem, żebym im sam pokazywał; kiedy tacy ciekawi, to niech sobie je wynajdą.

Ksiądz powtórzył co do słowa hardą odpowiedź starego Kostana.

Rozśmiali się tylko na to starsi i coś pomiędzy sobą poszwargotali, kazali pochwycić starca i pastwili się nad nim. Wszystkie jednak te barbarzyńskie środki na nic się nie zdały, stary ile razy go zapytywali, wciąż powtarzał:

— Wiem, ale nie powiem.

Zdziwieni taką wytrwałością dziada i widząc, że mu już mało brakuje do śmierci, z obawy, żeby im nie umarł i z sobą nie uniósł tajemnicy, powiązali go w postronki i rzuciwszy na furę, z sobą zabrali do Modliszewic.

Jadwina zostająca w chacie dziadka, nic o tém nie wiedziała, albowiem ten najsurowiej zakazał jéj wychodzić, i kiedy dopiero zobaczyła żołnierzy o parę staj już za wsią, wybiegła, a pierwszą wiadomością, jaką powzięła, było, że Szwedzi skatowali i mało żywego zabrali z sobą do Modliszewic jéj dziadka.

Nie namyślając się ani chwili, z głośnym płaczem, z rozrzuconemi włosami puściła się w ich ślady, a ponieważ oddział jechał noga za nogą, Jadwina prawie w téj saméj chwili przybiegła, kiedy wjeżdżali w bramę zamku Modliszewskiego. Na podwórcu stał właśnie książę Rakoczy, mając siadać na koń; a kiedy mu oficer opowiedział rzecz całą i pokazał powiązanego starca, nietylko się nie ulitował nad losem nieszczęśliwego, ale rozkazał koniecznie wydobyć zeń wyznanie o skarbach.

Jadwina właśnie w téj chwili z jękiem rzuciła się na kolana przed jego koniem i całując strzemię siodła, prosiła za dziadkiem. Domyślił się Rakoczy, o co rzecz idzie i kazał jéj powiedzieć, że jeżeli namówi dziadka, żeby powiedział, gdzie są skarby schowane, to nietylko im nic nie będzie, ale znaczną część im jeszcze udzieli; że daje jéj na to całą noc czasu i dlatego każe ją zamknąć razem z dziadkiem.

Loch, do którego wtrącono starego Kostana, był głęboko ukryty w ziemi, a kiedy się znaleźli sami, starzec rzekł do Jadwiny: Słuchaj moja gołąbko, mnie się już niewiele należy na świecie, lecz choćby mnie i umęczyli, nie wydam tajemnicy. Ale mi chodzi o ciebie moje dziecko, żeby się nad tobą nie pastwili barbarzyńcy. Zamłodu służyłem ja tu w zamku i znam dobrze te lochy. Miejsce, w którém się znajdujemy, ma skryte wyjście do kapliczki stojącéj nad stawem, a ponieważ już noc zapadła, będziemy próbować, aby się ocalić... Popchnij-no dobrze Jadwino ten kamień w głowach tego tapczana.

Jadwina wykonała, co dziadek kazał i za popchnięciem wionęło świeże powietrze i światło jakieś błysnęło w oddali. Starzec podniósł się i opierając się na ramieniu wnuczki, chciał wyjść, ale przejście tak było ciasne, że to było niepodobieństwem. Pojedyńczo więc musieli przebywać korytarz, a kiedy przeszli z pół staja, znowu ściana stanęła przed niemi, lecz za popchnięciem znaleźli się w kapliczce stojącéj w środku wsi nad stawem; ponieważ zaś nie było w niéj srebra ani złota, była więc nienaruszona. Uklękli i podziękowali Bogu za szczęśliwe ocalenie, a wkrótce chyłkiem około żywych płotów wydostali się za wieś. Tu napotkali oddział Polaków, który nie wiedząc, że nieprzyjaciel w Modliszewicach, prosto tam maszerował, ale ostrzeżony, wrócił się, zabierając ich z sobą pod Soczewkę, gdzie Wojewoda Czarnecki stał ze swoimi. Wódz ten kazawszy dosiąść natychmiast koni, tak niespodzianie napadł w nocy na Węgrów, że już mu się nie mogli oprzeć aż do saméj granicy.

Stary Kostan z Jadwiną był przyjęty z największym szacunkiem przez OO. Bernardynów— ci wynagradzając jego wierność, dobrą sumkę dali na posag Jadwiny, która wyporządziła kapliczkę, do dziś dnia stojącą około drogi nad stawem w Modliszewicach.

Wyparzanie drzewa.

Wiadomo, ile są szkodliwe skutki w budowlach i sprzętach, niedostatecznemu wysuszeniu drzewa przypisywane, a przez paczenie się, pękanie, zsychanie i t. p. objawiające się. Mniemano powszechnie, i wielu dotąd jest zdania, że dla zapobieżenia temu, potrzeba drzewo dobrze wysuszyć przed użyciem go do roboty. Lecz ileż to czasu trzeba, żeby drzewo dobrze wyschło, i co przez dobre wyschnięcie rozumieć należy.

Drzewo świeżo ścięte, w ogólności mokre, suszy się albo przez zostawienie go przez lat kilka na wolnem powietrzu, albo przez zachowanie go w zamkniętych miejscach, dokąd ani słońce, ani deszcz, ani mocny ciąg powietrza nie dochodzą. Oba te sposoby znacznym ulegają niedogodnościom. Drzewo pierwszym sposobem suszone, pęka nietylko na końcach, ale i w środku, a suszone zwolna, w zamkniętem miejscu, ulega

nadpsuciu przez robactwo. Dla odjęcia soków belkom do budowy mostów, domów i t. d., i dla uczynienia ich giętszemi, częstokroć wystawia się takowe przez pewien czas na działanie wody płynącéj. Ale żeby woda przesiąknąć mogła drzewo miernéj tylko grubości, bardzo długiego czasu potrzeba. Hollendrzy już w roku 1740, drzewo, które do budowy okrętów zgiętem być miało, działaniu pary wodnéj poddawali w urządzonéj do tego skrzyni. Tym sposobem rozgrzanemu drzewu, zginaniem potrzebną postać nadawano. Wkrótce i w Anglii sposób ten z dobrym skutkiem naśladowano. Z razu mniemali robotnicy, że drzewo utraci moc swoję przez rozmiękczenie i rozgrzanie, tymczasem, po wyschnięciu drzewo takie twardszem i mocniejszem okazało się. Ważną jeszcze a niespodzianą korzyść otrzymano; przekonano się bowiem, że drzewa wyparzonego robactwo nie narusza. Przyrządzanie takie drzewa, *odługowaniem* nazwano, dlatego zapewne, że ciecz przy wyparzaniu dębowego drzewa wyciekająca, jest tak gęsta, jak mocny ług, tylko, że jest koloru czarno niebieskiego.

Drzewo, które chcemy wyparzyć, układa się w przyrządzonéj do tego skrzyni, jak najlepiéj opatrzonéj i zamkniętéj, ażeby szparami uchodzić para nie mogła. Dwa tylko otwory zostawiają się po włożeniu drzewa: jednym para z kotła wchodzi, drugim ciecz odpływa. W pierwszych 3ch lub 6ciu godzinach wycieka woda, powstała z pary skroplonéj, która jest letnią, ale z mocnym drzewnym zapachem i smakiem. Ciecz odpływająca ma coraz wyższą temperaturę, staje się ciemniejszą, gęstszą i z mocniejszym zapachem, który przy wyparzaniu drzew iglastych jest prawie nie do zniesienia. Przy końcu, w 60 lub 80 godzin znowu ciecz przezroczystości nabywa. Kiedy papier lakmusem zafarbowany, a w odcieku zmaczany, mocno zaczerwieni się, będzie to znakiem dostatecznego wyparzenia.

Kolor odpływającéj cieczy jest inny dla każdego drzewa, a zdaniem znawców, otrzymana z niektórych drzew, jakoto: orzechowego, mahoniowego i wiśniowego, z korzyścią do farbowania użytą być może.

Po wyparzeniu, trzeba drzewo wysuszyć. W tym celu wystawia się drzewo albo na wolne powietrze, albo wprost ze skrzyni przenosi się do ogrzanéj izby. Pierwszym sposobem suszone byle od deszczu zasłonięte było, nie pęka od słońca i wiatrów, a przynajmniéj bardzo mało. By jednak i temu u grubych bali zapobiedz, należy oba końce posmarować klejem stolarskim i papierem pokryć. Wcale się drzewo nie spaczy i w kilku miesiącach więcéj suchości nabędzie, aniżeli, gdyby przez tyleż bez poprzedniego wyparzenia suszonem było. Chcąc prędko drzewo wysuszyć, trzeba je zostawić przez dni kilka w ogrzanéj i do tego urządzonéj izbie. Ale wielokrotne doświadczenie przekonało, że jest najkorzystniéj wystawić drzewo wyparzone naprzód przez kilka tygodni lub miesięcy na wolne powietrze, a potem dopiero zamknąć je w izbie ogrzanéj.

Kiedy drzewo doskonale wyschnie, staje się: 1sze lżejszem, 2gie wydaje czysty dźwięk, gdy się w nie zapuka, 3cie wióry niezbyt grube łatwo się w jednéj ręce skruszyć dają, 4te trociny jak proszek lekkie, powoli ku ziemi spadają.

Przez wyparzanie robi się ciemniejszym kolor każdego drzewa. Ale zmiana ta nie na saméj powierzchni okazuje się, owszem wskróś drzewo przenika.

Zajmującym jest rozbiór korzyści, jakie wyparzone drzewo przynosi w robotach stolarskich fortepianów, skrzypców, stelmachskich i t. p.— wóz np. do polowania przeznaczony, wybudowany z podobnego drzewa, po dziewięcioletniem mocnem użytkowaniu w najlepszym jeszcze, znajduje się stanie.

Doświadczenia okazały, że ciężar drzewa wyparzonego, a potem przez 11 miesięcy na wolnem powietrzu suszonego, od 15 do 40 na sto zmniejszył się. Robiono także doświadczenia porównawcze nad wytrzymałością drzewa wyparzonego i wysuszonego, lub tylko wysuszonego, i przekonano się, że zawsze pierwsze drzewo wytrzymałość miało większą, i to od 100 do 150 funtów na cal kwadratowy. Giętkość także u niektórych gatunków drzew wcale się przez wyparzenie nie zmieniła, a u innych bardzo mało się zmniejszyła.

Okazały nareszcie doświadczenia, że do drzewa w wodzie moczonego mniéj nierównie wody wsiąka, kiedy poprzednio wyparzeniu poddanem będzie.

A tak wszystko mówić się zdaje za tem, aby wszelkie drzewo, które do troskliwszych robót ma być użyte, wyparzeniu poddaném wprzód

było. Wydatek na przyrządzenie stosowne wielokrotnie otrzymanemi korzyściami wynagrodzonym zostanie.

Ostatni Nieszpór w Giwartowie.

(*Dnia* 18 *czerwca* 1857 *roku.*)

—

Kończyła się Oktawa Bożego Ciała; organista w szaréj kapocie poruszył dzwonek na cmentarzu w Giwartowie i stanął przed swoją chatą.

Po prawéj stronie Powidzkiego jeziora zachodziło słońce, a brzegi Polanowa i Powidza ginęły w jego promieniach. W polach było cicho, na łąkach tęskno po kwiatkach zerwanych na wianki do processyi, wiatr poruszał zielone topole, niby procesyonalne chorągwie, a steczkami cisnął się lud boży pobożny, cichy, pogodny, przybrany świątecznie.

Drewniany kościołek zbudowany na wzgórku opodal jeziora, z starą wieżyczką, z mchem na dachu czekał na przybycie ludu. Przez szczeliny spruchniałych ścian migają świece woskowe, a przed furtą na cmentarzu kapliczka, grób kamienny i garstka ludu, dla któréj już nie stało miejsca w świątyni, święconéj wody w kamiennéj kropielnicy i woskowéj świecy do ręki.

Organista stał przed swoją chatą, a z drugiéj izby wyszła jego sąsiadka i zostawiwszy drzwi otworem, cicho wsunęła się do sieni.

Magdalena miała twarz żółtą, mizerną, chudą, oczy zmęczone łzami i bezsennością, ubiór stary: ubogi kaftanik bez rękawów spięty na haftki, wełnianą spódnicę, czepek, a całą ozdobą ubioru była biała, świeża koszula i ślubny pierścień na palcu.

— Dziewczyna usnęła? spytał organista.

Niewiasta skinęła głową, a usłyszawszy śpiew w kościołku, klękła między progiem sieni i uchylonemi drzwiami izby, mówiąc:

— Nie mogę iść na nieszpór, bo dziecko ma gorączkę, co chwila może mnie potrzebować. Ztąd będę modlić się i czuwać nad nią; chwała Boska i dobry uczynek razem, a Bóg miłosierny i tu usłyszy biedną służebnicę.

Organista spojrzał na nią z rozczuleniem.

— Módl się Magdaleno! dzisiejsze nabożeństwo może i tym ludziom natchnie dobre uczynki, może przyjdą z pomocą dziecku i biednéj matce.

Kobieta westchnęła.

— Dałby Bóg, Wojciechu! Pięć tygodni nad łóżkiem choréj, to nie żarty. Całym moim posiłkiem zjedzona dorywkiem łyżka strawy i chwilowe zadrzymanie na stołku; do roboty iść nie można, a żyć trzeba, chudoba marnieje, ruchomości na chleb się zamieniają...

Kobiéta zamilkła, organista rzuciwszy jéj jeszcze parę słów nadziei i pociechy, obiecał przynieść święcone wianki z kościoła i poszedł pełnić służbę na chórze.

Ozwały się organy, Monstrancya błysła w rękach zakonnego kapłana, a tłum rozliczny barwami sukni padł na kolana i śpiewał:

— Niechaj będzie pochwalony Przenajświętrzy Sakrament...

Drugi zaś chór, chór ciższy i słodszy, chór niewieści odpowiedział mu:

— Teraz i zawsze i na wieki wieków Amen.

Dwa światła biją na schylone głowy ludu: jedno u sklepień, to promień słońca—drugie u ołtarza, to promień z Monstrancyi.

Lud podniósł się zwolna, zapalił świéce woskowe i ruszył ku drzwiom w processyi za kapłanem; a kiedy z wązkich drzwiczek kościoła rozsypał się swobodnie po cmentarzu skupiony przy obrazach, przy krzyżu i księdzu, kiedy pieśni jego przydzwonił kościelny na mosiężnym dzwonie, jakżeż czysto i pięknie zabrzmiała pieśń święta nad zagonem zlanym rosą i potem i nad spokojném zwierciadłem jeziora, które w téj chwili odbijało same tylko niebiosa, bo wiosło nie śmiało go dotknąć.

Skończyła się processya, świéce na ołtarzu zagasły, wieśniacy rozsypali się po steczkach i dróżynach jak tęcza różnokolorowa, unosząc serce pełne pobożnéj pieśni, a oko pełne łez.

— Matulu, nie płaczcie, rzekło młode dziewczę, do kobiéty niosącéj koszyk; kto się modlił, dopełnił powinności, czegóż się smucić?

—Anulu, odpowiedziała kobiéta, kto się modlił, zrobił połowę powinności; drugą połową są dobre uczynki.

— Dobre uczynki matulku, zróbmy więc i dziś dobry uczynek, żeby się bardzo Bogu podobać.

— Właśnie po to idziemy, szepnęła matka, wskazując na koszyk i skręcając ku drzwiom Magdaleny—ten chléb, zioła i owoce zaniesiemy biédnej kobiécie, któréj córka dawno chora.

— Matko, chléb i zioła są od ciebie, lecz cóż da Anula?

— Anula może wyręczyć Magdalenę na kilka dni w czuwaniu i doglądaniu choréj.

Dzieweczka klasnęła w ręce i do chaty organisty weszły dwie kobiéty, które Bóg dnia dzisiejszego wybrał na posłanki miłosierdzia i na pochodnią, ukazującą szczytne pojęcie modlitwy.

Drzwi sieni stały otworem, ale Magdalena nie klęczała już w progu; na pierwszy głos córki pobiegła do izby, patrząc radośnie w spokojne oczy dzieweczki i słysząc przytomną jéj mowę.

Gorączka wyraźnie przeszła, sen złamał chorobę, osłabienie było wielkie, lecz niebezpieczeństwo minęło.

Magdalena właśnie dziękowała Bogu za Jego łaskę, kiedy Piotrowa z Anulą weszły do izby i dały jéj powód do nowych dziękczynień. Chléb, zioła i owoce wszystko przydało się biednéj matce, a pomoc Anuli wydała jéj się nieoszacowaną.

— Pójdę jutro na robotę, to się coś i zarobi, Anula zostanie przy Marychnie, rozpowiadała kobieta z radością organiście, który wróciwszy z nieszporów rzucił dziewczynie święcone wianki na łóżko i z rozrzewnieniem spoglądał na jasne twarze kobiet miłosiernych i kobiet pocieszonych.

— Mamy i zioła zbawienne, dodała Magdalena, pokazując lipowy koszyk i poczciwą Piotrowę. Organista skinął głową i rzekł uroczyście:

— Oby zawsze modlitwa wydała takie owoce, bogdaj jéj owocem był zawsze dobry uczynek.

Nazajutrz Magdalena poszła na najem do wsi sąsiedniéj, a w niedzielę była w kościołku, gdzie kapłan powiedział śliczne kazanie o modlitwie i dobrych uczynkach; u łóżka zaś choréj dzieweczki, siedziała dobra Anusia, patrzyły obie na siebie uśmiechając się i bawiąc święconemi wiankami.

Pies.

Zwierzę to należy do ssących drapieżnych, ma bowiem palce zakończone ostremi pazurami. Stworzenie to do każdego przyzwyczaja się powietrza, towarzyszy człowiekowi tak w najgorętsze, jako i najzimniejsze okolice. Żadne inne stworzenie nie przywięzuje się tak do człowieka, jak pies, żadne nie poddaje się mu z taką wiernością i uległością, żadne lepiéj nie broni jego osoby i domu i nie jest mu tak posłuszne na zawołanie i w wypełnianiu rozkazów człowieka. Bystry wzrok, czuły słuch i nadzwyczajnie przenikliwy węch, czynią psa bardzo użytecznem zwierzęciem domowém. W pojęciu pies przewyższa inne zwierzęta domowe. Któż z nas nie widział, a przynajmniéj nie słyszał, jakich sztuk psy nauczyć się mogą: służyć, przez kij skakać, tańczyć, rozmaite przedmioty przynosić i t. p. rzeczy; wszystko to z największą wykonywają zręcznością. Żadne zwierzę nie okazuje takiego uczucia wdzięczności dla swego dobroczyńcy, jak pies.

Najczujnieszym jest także stróżem domu, szczekaniem budzi śpiącego pana, gdy się zbliżają złodzieje. Niebezpieczeństwa, trudy, głód, niewygody niczem są dla psa, gdy je ponosi z panem lub dla pana swego; a w pracy nad własne siły mu pomaga: ciągnie wóz, porusza koła, strzeże trzody i tysiączne inne spełnia posługi. W obronie pana nie zna niebezpieczeństwa, rzuca się nieustraszony, napada z wściekłością, i do ostatniéj chwili życia odważnie walczy. Broni go od zwierząt drapieżnych, dziesięćkroć od siebie silniejszych, wydziera go z rąk morderców; jeżeli zaś ocalić go nie zdoła, żyje jedynie dla pomszczenia się. Pies ratuje swego pana zpośród bałwanów wodnych, tchem i ciałem swem go ogrzewa, skoro wraz z nim w otchłaniach śnieżnych zagrzęznie, wreszcie nie myśli o własnem ocaleniu, ale raczéj wybawieniu pana. Pies podoba sobie tam, gdzie się jego panu podoba, bez żalu opuszcza z nim dawną siedzibę, i chętnie z pysznego pałacu książąt przenosi się do lichéj lepianki nędzarza. Te dobre przymioty zjednały oddawna temu zwierzęciu przyjaźń człowieka; jak wielka tedy jest szkoda, że to przychylne dla ludzi stworzenie podlega strasznéj chorobie, jaką jest wścieklizna.

Pies żyjąc wraz z człowiekiem w różnych okolicach ziemi, ulega rozlicznym odmianom; nie ma też zwierzęcia, któreby miało więcéj dobrze odznaczonych ras, jak rodzaj psa.

Znaczniejsze rasy psów są:

1. *Brytan*, mocno zbudowany, ze zwieszającą się skórą po obu stronach pyska; trzymany zazwyczaj na łańcuchu do pilnowania domu.

2. *Kądel*, pies pospolity podwórzowy, broni także domu.

3. *Owczarek*, bardzo pojętny, strzeże owiec.

4. *Ogar* (pies gończy) z przytępionym nosem, krótkim, grubym i zadartym pyskiem, służy do polowania w kniejach.

5. *Wyżeł*, ma długie uszy, służy do szukania zwierzyny w polu.

6. *Chart*, postawy cienkiéj, wysmukłéj, lekki i szybki do polowania w otwartem polu.

7. *Pudel*, z włosem wełniastym, kędzierzastym, przyuczany do rozmaitych sztuk.

8. *Jamnik* (daks) ma krótkie nogi, używany do polowania na lisy i borsuki w norach podziemnych.

9. *Mops*, krótki pysk, wielkie oczy, przycięte uszy, sierść płowa na całem ciele.

Zmyślność pudla.

Pewien uczony miał zwyczaj, iż położywszy się w łóżko, długo w noc czytał. Często, zmęczony czytaniem, zasypiał, zapomniawszy zgasić świécy. Rzecz to bardzo niebezpieczna i nieraz była przyczyną wielkiego nieszczęścia. Od świécy mogą się zapalić papiéry i książki na stoliku, daléj pościel, łóżko i dom cały. Otóż uczony ten budził się nieraz ze strachu, przypominając sobie niejako we śnie, że świécy nie zagasił; ale świéca była zawsze zgaszona. Drzwi od swego pokoju sam na klucz zamykał, nie mógł więc pojąć, kto mu tę przysługę robił—chciał się jednak o tém przekonać. Zostawił więc jednego razu umyślnie niezagaszoną świécę i udał, że śpi, a przymrużywszy oczy, czekał, co się daléj dziać będzie.

Ledwie kilka minut tak spokojnie poleżał, aż tu pudel wstaje, wskakuje na krzesło przy łóżku będące i przypatruje się dobrze panu, czy śpi—gdy zaś widzi, że się pan wcale nie rusza, i oczy ma zamknięte, łapą świécę gasi.

Psy na górze Śgo Bernarda.

Jest kraj położony od nas na południe, który się zowie Szwajcaryą. W tym kraju są tak wysokie góry, że obłoki i chmury pod niemi idą. Na wierzchołkach tych gór wielkie wciąż trwa zimno, a latem i zimą leżą tam wiecznie śniegi. Drogi więc po tych górach bardzo są przykre i w śnieżnych zawiejach nieraz tam giną podróżni. Dlatego na jednéj takiéj wysokiéj górze, zwanéj górą Śgo Bernarda, stoi klasztor, w którym miłosierni zakonnicy mieszkają, w tym tylko celu, aby zbłąkanych podróżnych przyjmować w gospodę i ratować zmarłych po drogach. Do szukania zaś tak zbłąkanych i śniegiem zawianych ludzi trzymają psy. Codziennie rano wysyłają owi zakonnicy dwa takie psy, przywiązawszy jednemu do szyi płaszcz ciepły, a drugiemu koszyk z żywnością. Te litościwe zwierzęta naprowadzają zbłąkanych i osłabionych podróżnych na drogę do klasztoru, odgrzebują zasypanych śniegiem, własnem ciałem ogrzewają znalezionych, i wyciem dają znać swym panom, aby przyszli ratować nieszczęśliwych. Zakonnicy zaś idą za głosem swych psów, biorą zmarzłych podróżnych, zanoszą do klasztoru, pielęgnują ich i starają się do życia przyprowadzić. A gdy wszelkie starania na nic się nie przydadzą, składają takie ciało w osobnem miejscu, gdzie dla wielkiego mrozu nienaruszone zostaje, aby od krewnych lub znajomych, po kilku nawet latach mogło być poznane.

Będzie temu lat ze trzydzieści, jak przez górę Śgo Bernarda szło kilku podróżnych, a z nimi kobiéta z dwojgiem dzieci. Straszliwa śnieżna zawieja zasypała drogę, a nieszczęśliwa matka zbłądziwszy, została z dziećmi swemi w śniegu. Mróz trzaskający przejmował ich srodze, a biédne dzieci cisnęły się do matki, wołającej napróżno ratunku — biédna skościała już w śniegu z małém dziecięciem, a starszy chłopczyk snem zmorzony, leżał jeszcze żywy. Aż tu nadszedł taki pies z klasztoru, co zwietrzył podróżnych, wygrzebał ich ze śniegu i ogrzewał ich sam sobą, ale nadaremnie. Chłopczyk tylko przyszedł do siebie, a pies uradowany, tak mu się łasił, tak mu się przymilał, że go zmusił wsiąść na swój grzbiet i przyniósł do drzwi klasztoru. A skoro w klasztorze chłopczyka odebrali, poczciwe psisko póty wyło i wracało się na drogę, zkąd było przyszło, aż zakonnicy zmiarkowali czego chce. Opatrzywszy się w potrzebne do ratunku przedmioty, poszli za psem do pozostałéj matki i małego dzieciątka. Ale już w żaden sposób tych dwojga do życia przyprowadzić nie mogli. Wzięli tylko martwe ciało, które na pamiątkę do dziś dnia przechowują w klasztorze. Nazwisko tego osobliwego psa jest *Barry*; uratował on życie przeszło czterdziestu ludziom. Już też i sam nie żyje. Obywatele miasta Bernu, kazali skórę jego wypchać i w Muzeum historyi naturalnéj umieścić.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować. Warszawa d. 28 paźdz. (9 listop.) 1857 r.—Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.